GŁOSY NA TEMAT KONDYCJI POLSKIEJ SOCJOLOGII

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Uniwersytet Łódzki*
DOI: 10.26485/PS/2017/66.2/7

O WYZWANIACH KOMUNIKACYJNYCH SOCJOLOGII ŁÓDZKIEJ (I NIE TYLKO)¹

Socjologia nie była dla mnie miłością od pierwszego wejrzenia. Kiedy w 2003 roku rozpoczynałam studia w Instytucie Socjologii na Uniwersytecie Łódzkim, długo nie mogłam zrozumieć, o co właściwie chodzi w tej dyscyplinie nauki i jaki jest jej, nomen omen, społeczny sens. Oczekiwałam jednoznacznych odpowiedzi, tymczasem poznawane na kolejnych zajęciach teorie opisywały społeczeństwo w konkurencyjny, często wykluczający się sposób. Wreszcie, zamiast poszukiwania jasnych i kategoriowych odpowiedzi na pytanie „jak jest?”, zaczęła mnie fascynować właśnie ta wielość mówienia o społeczeństwie i w społeczeństwie – badanie splatających się, ale też rywalizujących ze sobą dyskursów społecznych, intelektualnych i naukowych. Dlatego mój głos chciałabym poświęcić siatce dyskursów, która oplata socjologów i którą po części sami tkamy wokół siebie. Ponieważ Zakład Badań Komunikacji Społecznej, w którym pracuję, znany jest ze swego sceptycyzmu i raczej pesymistycznej postawy Kłapouchego, skupię się na nakreśleniu paru komunikacyjnych kłopotów stojących przed łódzką socjologią – a po części przed socjologią polską en bloc – lecz nie

* Dr, Zakład Badań Komunikacji Społecznej, Instytut Socjologii; e-mail: m.nowicka_franczak@uni.lodz.pl.

¹ Podstawą tekstu jest wystąpienie wygłoszone w panelu dyskusyjnym pt. „Socjologia łódzka na przestrzeni dekad – refleksja nad przeszłością i współczesnością” podczas obchodów 70-lecia socjologii łódzkiej, 13 listopada 2015 roku w Instytucie Socjologii UŁ.

chciałabym ich traktować jako problemów nierozwiązywalnych i pretekstu do czarnowidztwa, a raczej jako zaproszenie do wspólnej refleksji.

Najszerzy krąg komunikacyjny, którego elementem jesteśmy, to socjologia światowa, ze wszystkimi jej trendami, modami i konstruktami. Ta globalna socjologia, która stara się objąć refleksyjnym spojrzeniem współzależny świat, wyznacza nam od dekad w gruncie rzeczy to samo miejsce na swojej mapie poznawczej. Pozostajemy Europą Wschodnią. Oczywiście, coraz intensywniej ubiegamy się o europejskie granty, jeździmy na zagraniczne konferencje, na zjazdach towarzystw ESA i ISA polscy socjologowie zawsze mają liczną reprezentację. Jednakże im więcej jeździmy, tym bardziej celebруем swoją wschodniość. Ona jest subtelna, na pierwszy rzut oka prawie niewidoczna, gdyż nie dzielą nas dziś bariery polityczne, językowe czy mentalne. Problem wciąż stanowi różnica ekonomiczna, której doświadczają chociażby uczestnicy międzynarodowych projektów badawczych, opłacani za te same zadania wyraźnie gorzej niż ich partnerzy z Zachodu. Kiedy mówię o wschodniości, nie chodzi mi jednak o asymetrię materialną, lecz symboliczną. Socjologowie z Łodzi, z Polski, z Europy Wschodniej są pożądanymi, o ile dokonają symbolicznego przekładu swoich lokalnych kontekstów badawczych na język socjologicznego centrum. Albo jeśli wystąpią ze swoimi badaniami w roli ciekawostki ładnie dopełniającej postulowany i modny dziś krajobraz transnarodowych, postkolonialnych i cross-kulturowych projektów.

Ta przypisana nam wschodniość nie powinna stanowić powodu do rozpacz. Przeciwnie, ona daje nam wybór – właśnie dlatego że myśl, którą zapisała 20 lat temu prof. Antonina Kłoskowska [2012: 417], iż mimo postępującej globalizacji człowiek uniwersalny „pozostaje wciąż jeszcze tylko abstrakcją futurologiczną”, nadal jest aktualna. Nie ma także uniwersalnego socjologa i – co ważne – nie ma potrzeby, by go lepić z plastycznej masy problemów badawczych, metod i perspektyw wyznaczających aktualnie główny nurt nauk społecznych. Wschodnioeuropejski socjolog może krytycznie przeglądać się w lustrze socjologii światowej, czyli w dużej mierze zachodniej, ale może też odwrócić to lustro w jej stronę, odrzucić dyskurs pełnej mimikry i wejść z socjologicznym głównym nurtem w polemikę. Odmienność naszego spojrzenia na pewno nie rzuci światowej socjologii na kolana (ani nie pozwoli z nich wstać tym, którzy mają poczucie bycia pouczanymi i pogardzanymi przez Zachód), prawdopodobnie nie przełoży się na punkty z listy filadelfijskiej, a być może przejdzie w ogóle niezauważona. Mimo to lepsze niż bezskuteczne próby odrzucania wschodniości naszej optyki wydaje się zaprzyjaźnienie z nią, uważając przy tym, by nie popaść

w drugą skrajność, czyli celebrowanie własnej peryferyjności we wrogiej izolacji od socjologicznego centrum.

Kolejne kłopoty komunikacyjne i wizerunkowe socjologów wynikają z tego, że jesteśmy pionkiem w polu polskiego dyskursu publicznego. Jak wiadomo nie od dziś, socjologia i humanistyka nie mają w nim dobrej prasy. Są „niepraktyczne”, „nieinnowacyjne” i „produkują bezrobotnych”. To, że absolwenci socjologii, mimo że z rzadka wykonują zawód socjologa, nieźle radzą sobie na rynku pracy, zwykle w medialnym larum jest pomijane. Ta „nierynkowa” reputacja nie stanowi jednak sedna problemu – związanego z tym, że krytyczne myślenie nie jest dziś w cenie. Zdewaluował je dyskurs medialny i polityczny. Prowadząc obecnie badania dyskursów transformacyjnych w Polsce, odnoszę wrażenie, że nauki społeczne i humanistyczne nigdy w tym ćwierćwieczu nie były szczególnie ważne dla polityków. Oczywiście, wielokrotnie ingerowano w szkolnictwo wyższe, ale reformy w tym obszarze traktowano jako techniczne zadanie do wykonania, pozbawione patosu wielkiej zmiany. Z jednej strony patetyczne wizje bywają groźnym narzędziem ideologicznej instrumentalizacji, ale z drugiej, brak wizji ugruntował neoliberalną doksię w rządzeniu nauką. Jesteśmy teraz u progu nowych politycznych rządów, wkrótce pojawi się nowy minister nauki, lecz najprawdopodobniej wciąż kultywowana będzie taka polityka urządzania uczelni, która pod płaszczykiem modernizacji przerabia nas w instytucje, w których nie chcielibyśmy nie tylko uczyć, ale i studiować.

W 1957 roku Jan Szczepański [1957: 106], w zupełnie innym kontekście politycznym, próbując przekonać ówczesny reżim, że socjologowie chcą tworzyć naukę, a nie zadaniowo obsługiwać cele polityczne, pisał tak: „Uczeni nie chcą rządzić. Chcą tylko rządzącym dostarczać podstaw do podejmowania rozsądnych decyzji i rozumnego sprawowania władzy”. Tylko tyle i aż tyle. Dziś pewnie wielu z nas podpisałoby się obiema rękoma pod innym zdaniem, brzmiącym: „uczeni nie chcą być rządzonymi” – w każdym razie nie w taki sposób, jak do tej pory, powierzchownie kurtuazyjny, a w istocie upupiający tych, którzy nie godzą się na rolę czy to korpopracowników naukowych, czy to pożytecznych idiotów dla jakiegokolwiek władzy. Jeśli takie są rzeczywiście nastroje, to co stoi na przeszkodzie, aby dać wyraz niezadowoleniu? Pamiętam doskonale nasz lokalny protest sprzed kilku lat, gromadzący pracowników, doktorantów i studentów Instytutu Socjologii UŁ przeciw wchłonięciu posiadającej długą tradycję biblioteki socjologicznej im. Józefa Chałasińskiego przez bibliotekę wydziałową. „Musi być kasa na Habermasa!” – wołał tłum zebranych. Mimo że „optymalizująca wydatki” decyzja o połączeniu bibliotek nie została przez ówczesnego dziekana Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego cofnięta, było to małe święto łódzkiej

socjologii, zmobilizowanej ponadpokoleniowo we wspólnej sprawie. W skali większej niż wydziałowa – a dziś chodzi o nie tylko o socjologię, ale i o całą humanistykę – trudno byłoby powtórzyć tę historię. Co prawda, ferment wśród naukowców już się zaczął, czego dowodem może być niemałe zaangażowanie socjologów, także pracowników łódzkiego Instytutu, w działalność programową i akcje protestacyjne Komitetu Kryzysowego Humanistyki Polskiej, jednakże nadużyciem byłoby diagnozowanie kolektywnego zrywu przeciw groźbom uszczuplenia autonomii i akademickiej tożsamości uniwersytetu – zwłaszcza że w małych, względnie izolowanych środowiskach, a takim jest według mnie środowisko socjologów, bardzo szybko odtwarzają się pozaakademickie podziały światopoglądowe i polityczne.

Trzecia kwestia łączy się z tym, że doświadczamy w Łodzi również problemów, które wiążą się z centro-peryferyjnym postrzeganiem polskiej socjologii przez samych socjologów w Polsce. Zaraz po II wojnie światowej socjologowie warszawscy znaleźli przystań i warunki do pracy w powstającym, także dzięki ich zaangażowaniu, Uniwersytecie Łódzkim. Część z nich została tutaj na długie lata, część wykształciła godnych następców, co stwarzało klimat do równorzędnej wymiany intelektualnej między stopniowo zyskującym na znaczeniu ośrodkiem warszawskim a łódzkim, o uznanej renomie zwłaszcza w zakresie metodologii badań społecznych, socjologii przemysłu czy socjologii kultury. Dzisiaj mamy w łódzkim środowisku problem z pielęgnowaniem tej tożsamości. Nie dlatego, że zainteresowania łódzkich socjologów podryfowały w zupełnie nowych kierunkach. Nie dlatego, że tradycja została zapomniana – przeciwnie, nasza tożsamość zbiorowa podupada mimo wielu inicjatyw badawczych i towarzyskich mających upamiętniać dorobek założycieli. Dzieje się tak głównie dlatego, że propagowany współcześnie model kariery naukowej jest indywidualistyczny, a w szeroko rozumianym dyskursie inteligenckim synonimem socjologii polskiej jest socjologia warszawska. Dalej wzrok przeciętnego inteligenta nie sięga.

W mediach ogólnopolskich mamy kilkoro dyżurnych socjologów z Warszawy, od czasu do czasu pojawiają się głosy z Krakowa lub Poznania, a Łódź, podobnie jak na mapach pogody, zwykle jest pomijana. W dyskusjach naukowych pozycja łódzkiej socjologii nie jest, mam wrażenie, dużo wyższa. Nie jest to niczyja wina ani żaden spisek. Jednak nie da się na dłuższą metę uprawiać socjologii w poczuciu nieistotności i przezroczystości. Sądzę, że to frustrujące uczucie dotyka dziś zwłaszcza młodszych pracowników, konfrontujących swoje idealistyczne pasje z obojętnością własnego środowiska, także tego najbliższego. Jak pisał wiele lat temu prof. Jan Lutyński [1990: 47], specyfiką kariery naukowej jest to, że oceniają ją koledzy akademicy. Być może pozytywistyczne, a nie romantyczne

odkurzenie zbiorowej tożsamości łódzkich socjologów byłoby remedium na niską samoocenę środowiskową. Profesor Wielisława Warzywoda-Kruszyńska w wywiadzie dla łódzkiej „Gazety Wyborczej”, którego pretekstem była niechlubna wypowiedź Bogusława Lindy, grającego Władysława Strzemińskiego w *Powidokach* Andrzeja Wajdy, o Łodzi jako mieście wymarłym, mieście meneli, powiedziała zdanie, które chciałabym zacytować: „Właściwie powinniśmy panu Lindzie podziękować, że tak nas poruszył i wyzwolił tyle pokładów lokalnego patriotyzmu” [Warzywoda-Kruszyńska, Urazińska 2015]. Proszę wybaczyć zbyt śmiało zapewne porównanie, lecz być może łódzkim socjologom i socjolożkom przydałby się taki Linda-prowokator, który butnie rzuciłby, że łódzka socjologia ledwo dyszy. Po takich słowach prawdopodobnie wszyscy podnieśliśmy głowy wysoko do góry i jednym głosem nie zgodzilibyśmy się z taką diagnozą, gdyż z łódzkich socjologów warto być dumnym, nawet jeśli nie są oni tak przebojowi jak socjologowie z innych środowisk.

Tym niemniej, w ferworze uzasadniania sobie i innym, że jesteśmy potrzebni i nadążamy za duchem czasu, nie starcza nam tego czasu na dyskusje naukowe w naszym łódzkim gronie. Trawestując Stefana Nowaka, rzec można, że wytworzyliśmy taką lokalną „próżnię socjologiczną”. Identyfikujemy się z naszymi katedrami lub zakładami, ale często nie wiemy, czym zajmują się ludzie pracujący w pokoju obok. Śledzimy światową socjologię, żeby być na bieżąco, natomiast spotkania łódzkiego oddziału Polskiego Towarzystwa Socjologicznego przyciągają ledwie garstkę sympatyków mimo ciekawych nazwisk prelegentów i szeroko zakrojonej promocji. Dlatego duże nadzieje wiąże z ideą cyklicznych konferencji instytutowych, które powinny dać nam szansę, by przedstawić się sobie nawzajem i wzmocnić więzi, zaniedbane przecież niecelowo, lecz dlatego, że zarzuceni bieżącym sprawami rzadko kiedy prowadzimy ze sobą dialog intelektualny. Sądzę, że podobne napięcie między kompleksem peryferyjnego ośrodka a własnymi ambicjami dotyczy nie tylko łódzkich socjologów, ale także pracowników innych niecentralnych ośrodków.

Być może najpoważniejsze wyzwanie, przed jakim stoimy, znajduje się jednak u samej podstawy nakreślonej przeze mnie drabiny komunikacyjnej i polega na głębokim rozdzwieku między opierzonymi socjologami a studentami. Nie mam tu na myśli krytyki obniżającego się poziomu studiów ani utyskiwań, skądinąd słusznych, na bezwstydną ignorancję coraz większej liczby młodych. Chciałabym zwrócić uwagę na inny fenomen, na zasadniczą zmianę ideowego naskórka studentów socjologii, którą w ostatnim czasie obserwuję z coraz większym niepokojem. Jeszcze nie tak dawno temu kierunki społeczne zazwyczaj wybierali ludzie o większej niż przeciętna wrażliwości społecznej, otwarci na

odmienność, czuli na cudzą krzywdę. Ci z nich, którzy chcieli aktywnie zmieniać świat, inspirowali się głównie myślą lewicową. Pamiętam z czasów, kiedy sama byłam studentką, że dyskusje o wyższości Żiżka nad Negrim, albo na odwrót, nie należały do rzadkości. Zadaniem wykładowców było raczej odsłanianie pewnej naiwności czy niebezpiecznej utopijności, stojącej za fascynującymi wielu z nas postmarksistowskimi projektami zmiany.

Nie zauważyliśmy, kiedy role się odwróciły. Socjologia przestała przyciągać społeczników, a ci nieliczni są dziś mniejszością wśród studentów. Na kierunki społeczne coraz częściej trafia student przypadkowy, skuszony raczej przypiętą im etykietką łatwego studiowania niż ich misją, a to oznacza, że coraz częściej jest to student konserwatywny w negatywnym wymiarze tego pojęcia, o ksobnym światopoglądzie – gdyż taka jest tendencja wśród młodych Polaków, czego dowód dali w wyborach prezydenckich i parlamentarnych w 2015 roku. W efekcie coraz częściej dydaktycznym zadaniem najpilniejszej potrzeby będzie nie tyle akademickie wykładanie socjologii, ile konsekwentne i żmudne wpajanie oraz obrona społecznego etosu socjologii, który będzie kwestionowany nie przez odległych urzędników w Warszawie, ale w pierwszej kolejności przez naszych, skądinąd sympatycznych, studentów. Dotkliwie utwierdziło mnie w tym organizowane niedawno przez Zakład Badań Komunikacji Społecznej otwarte seminarium na temat polskiej debaty o uchodźcach. Podział między głosami empatii wobec cudzej krzywdy a głosami etnocentrycznego zamknięcia biegł w dużej mierze po linii generacyjnej, między pozostającą w mniejszości kadrą solidaryzującą się z postulatami niesienia pomocy a większościowym stanowiskiem młodych uciekających się do ksenofobicznych schematów argumentacyjnych. Można wzruszyć ramionami i powiedzieć, że poglądy rzecz nabyta, mogą nie raz się zmienić, lecz nastroje otoczenia wpływają też na to, jak sami czujemy się w instytucie, w salach wykładowych, w terenie – wszędzie tam, gdzie uprawiamy socjologię.

Kończąc, chciałabym przeprosić za to, że w dniu święta łódzkiej socjologii pozwoliłam sobie na taką dawkę narzekań, ale od typowego malkontenta różni mnie to, że traktuję wymienione problemy jako wyzwania naukowe, publiczne i dydaktyczne, które warto podjąć. Cudownych recept zapewne nie znajdziemy, lecz sięgając do pięknej łódzkiej tradycji i do dzisiejszych doświadczeń, możemy tworzyć kontradyskursy – jeżeli te, w które jesteśmy wtłaczani, nas uwierają.

BIBLIOGRAFIA

- Kłoskowska Antonina.** 2012. *Kultury narodowe u korzeni*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Lutyński Jan.** 1990. *Nauka i polskie problemy: komentarz socjologa*. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Szczepański Jan.** 1957. *Inteligencja i społeczeństwo*. Warszawa: Książka i Wiedza.
- Warzywoda-Kruszyńska Wielisława, Agnieszka Urazińska.** 2015. „Linda nas nie skrzywdził. A Łódź ma świetną promocję”. *Gazeta Wyborcza*, 6.11.2015. <http://lodz.wyborcza.pl/lodz/1,35153,19144815,linda-nas-nie-skrzywdzil-a-lodz-ma-swietna-promocje.html> [dostęp: 21/06/2017].